Rozmaitości

Dnia 14. Listopada **Nr. 46.** Roku 1840.

SYN MEGO BRATA.

Wyznanie, które za panowania Karola II. w więzieniu znaleziono.

Byłem porucznikiem, odbyłem wyprawy w roku 1677 i 1678 za granicą. Po traktacie w Nimwegen podawszy się w odstawkę, udałem się o kilka mil na wschód od Londynu do małéj majętności, którą z posagu mojéj żony przed wystąpieniem z wojska kupiłem.

Dzisiejsza noc jest ostatnia dla mnie, piszę więc prawdę bez wszelkiéj osłony. Nigdy nie byłem uczciwym człowiekiem, i od samego już dzieciństwa dawałem oznakę skrytego, podejrzliwego charakteru. Mówię o sobie, jak gdybym już rozstał się ze światem, bo w téjże chwili gdy to piszę, już dla mnie grób kopią i w czarną księgę śmierci zapisują nazwisko moje!

Wkrótce po moim do Anglii powrocie, mój brat zapadł w słabość śmiertelną, co mnie mało lub wcale nic nie obchodziło, gdyż od czasu jakeśmy męzkiego doszli wieku, rzadkośmy bywali z sobą, a jeszcze rzadziéj zgadzaliśmy się w naszém zdaniu. On był otwarty, szlachetny i przystojniejszy odemnie, posiadał większe talenta i był powszechnie kochany. Osoby, które za granicą lub w ojczyźnie starały się dla tego zabrać ze mną znajomość, że były z nim w przyjaźni, rzadko kiedy przywiązywały się do mnie na czas długi, i zaraz w piérwszéj rozmowie okazywały swe zdziwienie, że my, dwaj bracia, tak wielce od siebie się różnimy. Ja sam je wprowadzałem najczęściéj na to zeznanie, gdyż byłem o tém przekonany, jakie między nami oboma chcąc nie chcąc, musiano czynić różnicę; a że w mém sercu tkwiła zawiść, przeto przeciw własnemu sumieniu starałem się ją usprawiedliwić.

Żony nasze były sobie rodzonémi siostrami. A ten węzeł, zamiast że nas miał jeszcze mocniéj połączać, bardziéj nas jeszcze od siebie oddalał. Żona brata mego była przenikliwą i wskróś mnie przejrzała. Ile razy we mnie skrycie zazdrość, gniew i oburzenie wrzały, nigdy to nie uszło jéj oku. Ile razy w takim stanie wzrokiem na nią rzuciłem, widziałem, że jéj oczy były we mnie wlepione; byłem wzrok spuścił, byłem w inną spojrzał stronę, zaraz dostrzegłem, że na mnie miała pilne baczenie. Byłoto dla mnie niewymowną rozkoszą, gdyśmy się pokłócili, a jeszcze większą, gdym się za granicą dowiedział, że umarła. Jeszcze teraz mi się wydaje, jak gdyby już podówczas ciężyło w nas niesłychane i straszne przeczucie tego, co późniéj nastąpić miało, podobne do niedojrzanego widma, które z przyszłości w obecność zagląda. Zawszem się jéj czegoś obawiał, ona zawsze się wzdrygała na mój widok, i teraz jeszcze widzę przed sobą jéj wzrok mocno utkwiony we mnie, który mnie jak przypomnienie okropnego snu ściga i krew' w żyłach moich ścina!

Wkrótce po wydaniu na świat syna, umarła, a gdy brat mój uczuł, że i jemu się wszelkiéj nadziei wyzdrowienia zrzec wypada, wezwał do siebie żonę moję, i poruczył swojego syna, czworo-letnie dziecię,

jéj opiece. Zapisał mu wszystek swój majątek, z tym dodatkiem, by takowy na przypadek śmierci dziecięcia, w znak podzięki za troskliwość i przywiązanie, przeszedł na żonę moję. Poczém przemówił do mnie kilka słów tkliwych, i ubolewając nad tak długim naszym rozdziałem, gasnąc na siłach, zapadł w sen, z którego się już nie przebudził.

My nie mieliśmy dzieci, a że obiedwie siostry z największą tkliwością się kochały, a żona moja już nieraz przedtém temu chłopcu miejsce matki zastępowała, przeto kochała go jak swoje własne dziecię. Jakož i chłopiec był do niéj mocno przywiązany, ale tak co do wzroku jak i umysłu, byłto wierny wizerunek swéj matki, nie lubił mnie i nigdy mi nie dowierzał.

Nie umię dokładnie wymienić czasu, w którym się to uczucie po raz piérwszy we mnie ocknęło, ale wkrótce doznawałem jakiéjś przykrości, gdy to dziécię przy mnie obecne było. Ilekroć z ponurego dumania się otrząsłem, postrzegałem, że chłopiec mnie uważał, a to nie z dziecinném zdziwieniem, ale z jakimsiś zamiarem i oznaczeniem, co już w jego matce spostrzegałem. Nie byłto bynajmniéj skutek fantazyi mojéj, dla wielkiego podobieństwa rysów matki z rysami twarzy jego. Nie mógłem nigdy skłonić chłopca tego, aby wzrok w ziemię spuścił. Zawsze się mnie lękał, ale oraz z powodu jakiegoś wewnętrznego popędu swego zdawał się mną pogardzać, a nawet wtedy, gdy mojego wzroku unikał, — co się często zdarzało, gdyśmy jeden przeciw drugiemu stali — nawet wtedy, gdy wychodząc, do drzwi się zbliżał, nie spuszczał nigdy ze mnie aby na chwilę przenikliwego wzroku swego.

Może sam przed sobą taję prawdę, ale nie sądzę, abym już zaraz z początku miał jaki zamiar wyrządzenia mu krzywdy. Prawda, iż nieraz o tém myśliłem, jak pożądaném byłoby dla nas dziedzictwo jego, prawda, żem sobie życzył, aby ten chłopiec umarł, ale to rzecz pewna, żem nie myślał nigdy odbiérać mu życia. Jakož myśl ta nie przyszła mi od razu do głowy, lecz zwolna i z czasem; myśl ta szła do mnie z początku z jakiegoś oddalenia, jak niewyraźna, mglista postać jakaś, podobnie, jak sobie trzęsienie ziemi lub sąd ostateczny pomyślimy; potém się coraz bardziéj zbliżać zaczęła, i pomału utracała z swéj okropności i niepodobieństwa do prawdy; później stała się częścią, nareszcie całą treścią i osnową moich codziennych myśli, a nakoniec wyszła w zapytanie: jakimby sposobem najbezpieczniéj tego dokonać można, nie zaś, ażali to się godzi lub nie godzi.

Podczas gdy się mi takie myśli po głowie snuły, nie mógłem znieść, iż dziécię uważało, żem poglądał na nie; a przecież jakiś niezbędny popęd zmuszał mnie ustawicznie przypatrywać się téj mdłéj i złomnéj postaci, i myślenia sobie, że mi bardzo łatwo przyjdzie odebrać mu życie. Niekiedy podkradłem się cicho po wschodach i patrzyłem na spiącego chłopca, lecz po większéj części zaczajałem się w ogrodzie niedaleko okna tego pokoju, w którym on ucząc się zadanéj lekcyi, na krzesełku przy mojéj żonie siedział. Tak patrzyłem nań po całych godzinach z po-za drzewa, a poczuwając się do winy, chociaż na każdy szelest listka się wzdrygnąłem, jednakże zawsze znowu podkradałem się za drzewo dla zaglądnienia do pokoju i wlepienia wzroku mego w chłopca.

W poblizkości naszego domu, był staw dość duży i głęboki, którego z po-za drzew widać nie było. Niemało czasu łożyłem na to, abym nożem wyżłobił czółenko, które dla dziecięcia na drodze postawiłem. Poczém schroniłem się do méj kryjówki, koło któréj chłopiec koniecznie przechodzić musiał, jeżeliby się kiedy dla puszczenia na wodę téj małéj łodzi, z pokoju wymknął. Tak ukryty czatowałem na jego przyjście. Ale chłopiec ani w tym ani w następnym dniu nie przyszedł, chociaż ja od południa do wieczora nań czekałem. Wiedziałem bardzo dobrze, żem go już w moję siatkę złowił, gdyż słyszałem go mówiącego o czółenku, i powiedziano mi także, iż zabawkę tę z wielkiéj radości wziął z sobą nawet do łóżka. Nie przykrzyła się mi usilność moja, czekałem cierpliwie, jak myśliwy na pojaw źwiérzyny; aż oto dnia trzeciego nadbiegł chłopiec wesoło, i przemknął z pośpiechem po przed moję kryjówkę. Jak jedwab,

miękkie włosy jego, igrały z wiatrem, i w tejże saméj chwili — Boże odpuść winę moję! — śpiewał sobie wesołą piosnkę, chociaż jeszcze słów dokładnie wymówić nie umiał.

Puściłem się za nim; zacząłem pełzać po pod krzewy, co się tamże wznosiły, i tylko złym duchom wiadomo, w jaki sposób wyśledzić mógłem nad brzegiem stawu ślady jego. Ujrzałem go nareszcie pod krzakiem puszczającego na nitce łódkę na wodę. Przypełzałem ku niemu i podniosłem się na kolana, i jużem był podniósł ramię, aby go w staw wtrącić, aż oto chłopiec postrzegłszy cień mój w wodzie, nagle ku mnie się zwrócił.

Z ócz jego patrzył duch jego matki. Słońce wyszło z po-za chmury i rozjaśniało strumieniem swego światła pogodne niebo, zielone niwy, czystą jak kryształ wodę, i śklące się po listkach krople dészczu. Wszystkie przedmioty tchnęły życiem, wszystek świat otworzył oczy, aby przypatrzył się zabójstwu! Nie pamiętam, co chłopiec rzekł w téj chwili. Pochodził on z rycerskiéj, walecznéj familii, a chociaż był dzieckiem, nigdy się nie ugiął przedemną, nigdy mi nie pochlebił. Teraz słyszałem go mówiącego, iż będzie się starał kochać mnie; to rzekłszy puścił się pędem do domu. Myśl krwawobójcza odebrała mi zmysły — nie pomnę co się ze mną stało — ujrzałem miecz w mém ręku — i zabitego chłopca u nóg moich. Był on cokolwiek krwią zbryzgany, lecz zresztą wyglądał tak niewinnie, jak go nieraz śpiącego widywałem, nawet i teraz miał twarz na swéj rączce opartą.

Podniosłem go z ziemi, i położyłem lekko i ostrożnie, już nieżywego, w gęstym krzaku. — Żona moja tego dnia nie była w domu i dopiéro na drugi dzień powrócić miała. Okno w naszéj sypialni, jedno tylko, które wychodziło po téj stronie na ogród, nie było wysokie; postanowiłem przeto wykraść się przez nie w nocy z pokoju, i zakopać chłopca w ogrodzie. Nie pomyśliłem o tém, że plan mój może mię zawieść, że staw spuszczą i nic nie znajdą, że pieniądze nietknięte pozostawić należy, gdyż wypadało wzniecić mniemanie, że się dziecię zabłąkało lub skradzionem zostało. Wszystkie myśli moje zlały się tylko w tę jednę konieczność, skryć przed światem to, com uczynił!

Co się we mnie wtedy działo, gdy domownicy z tém smutném doniesieniem do mnie przyszli, że dziecięcia nigdzie znaleźć nie mogą, gdym ich dla szukania go na wszystkie strony porozsyłał, gdym, skoro do mnie kto się przybliżył, z zalęknienia zaledwo odetchnąć zdołał; tego żaden język wysłowić, ani dusza ludzka wyobrazić sobie nie zdoła! Zakopałem chłopca téj saméj nocy; ale gdym odginając gałęzie spojrzał w środek ciemnego krzaka, zaświécił mi w oczy robaczek świętojański; promienił się on jakby widomy duch boży na zamordowaném dziecięciu! Odwróciłem oczy i uniosłem ofiarę. Gdym w grób spojrzał, w który chłopca włożyłem, robaczek świécił jeszcze na jego piersiach, jak ogniste oko w niebo patrzące i wzywające gwiazd, które na krwawy czyn mój z góry poglądały!

Musiałem przyjąć żonę moję, musiałem jéj oznajmić tę smutną wiadomość i uspokoić ją nadzieją, że dziécię wkrótce się wynajdzie, Czyniłem to wszystko pozornie, jak gdyby się mi tak zdawało, jak gdybym tak czuł, jakem mówił, gdyż nikt nie miał o mnie najmniejszego podejrzenia. Potém usiadłszy przy oknie w sypialni, patrzyłem dzień cały w to miejsce, gdzie moja straszna tajemnica ukrytą była.

Tém miejscem była jedna część ogrodu, którą kilką dniami przód w zamiarze wyłożenia jéj nowém darniem, skopać kazałem; obrałem na grób umyślnie to miejsce, aby na niém ślady mego rydla nie pozostały. Ludzie, którzy darniem je wykładali, mogli mię mieć za szalonego, że ich tak bez ustanku do pośpiechu napędzałem i sam wraz z nimi darń udeptywałem. Przed nadejściem wieczora skończyliśmy robotę; poczém w porównaniu z przeszłą niespokojnością, cokolwiek się bezpieczniejszym uczułem.

Zasnąłem, ale nie jak ci, którzy po przebudzeniu się, swobody umysłu i rzeźwości doznają; sen mój był dla mnie niewysłowioną męczarnią; byłem pastwą najokropniejszych widziadeł; śniło się mi, że mnie ścigają, że mnie pod topor wiodą; darń krwią

zbryzgana, stawała mi przed oczyma, a z niéj to ręka, to noga, to głowa stérczała! Wtedy przebudziwszy się, gorącym potem oblany, poskoczyłem do okna dla przekonania się, ażali istotnie tak się nie dzieje. Tak pędziłem noc całą; niemal dziesięć kroć razy zrywałem się i znowu kładłem do łóżka; ale tenże sam sen zawsze mnie ścigał bez ustanku, co mi większą katuszą było, niźli czuwanie, gdyż w każdym pojedyńczym śnie, całéj nocy okropność i męczarnia była zawartą. Jednego razu śniło się mi, że dziécię jeszcze żyje, żem bynajmniéj nie miał myśli odebrania mu życia. Jakżem w tym śnie był uszczęśliwiony, jakiéjżem nie uczuwał radości! Ale przebudzenie się z snu tego, było dla mnie najokropniejszém ze wszystkich uczuć!

Drugiego dnia usiadłem znowu przy oknie i nie mógłem odwrócić oczu moich od miejsca pokrytego darniem, w którém zawsze jak najwyraźniéj grób widziałem, chociaż miejsce to całkiem było zrównane i zieloną trawą pokryte. Gdy który z służących tamtędy przechodził, obawiałem się zawsze, aby się nie zapadł; gdy przeszedł, patrzyłem i przekonywałem się, ażali grobu nie wydeptał. Jeżeli na tém miejscu usiadł ptak jaki, obawiałem się, aby w jaki niespodziany sposób nie stał się przyczyną odkrycia méj zbrodni; gdy na tém miejscu wiatr zaszumiał, zdawało się mi, iż szeptał o zabójstwie! Słowem, wszystko com widział albo słyszał, choćby to była rzecz najzwyczajniejsza i najmniejszego znaczenia nie mająca, napełniało mnie zgrozą i przestrachem. W takim stanie ciągłego patrzenia się w to miejsce, trzy dni spędziłem.

Dnia czwartego przybył przed bramę mego domu pewien człowiek, który wraz ze mną służył wojskowo za granicą, a z nim oficer, którego wcale nie znałem. Byłem ich obecnością mocno zmiészany, albowiem czułem, iż niepodobieństwem będzie dla mnie puścić z oczu owo tajemnicze w ogrodzie miejsce. Byłoto pod wieczór w letniéj porze, kazałem więc moim ludziom przynieść stół i kilka butelek wina do ogrodu. Postawiłem moje krzesło na grobie i usiadłszy w tém przekonaniu, żem go w ten sposób od odkrycia zabezpieczył, usiłowałem pić i rozmawiać z moimi gośćmi. — Gdy żona moja była zatrudniona domem i nie była naszéj rozmowie obecna, nie musiałżem drżącym głosom opowiedzieć, co się stało z dziécięciem? Oficer, którego nie znałem, był bardzo cichy człowiek, i w czasie naszéj rozmowy wciąż miał w ziemię spuszczone oczy. Co mnie wielkim strachem nabawiało. Nie mógłem sobie wybić z głowy téj myśli, że on w tém miejscu coś spostrzegł, poczém się prawdy domyśla. Zapytałem go z pośpiechem, czy pan może sądzisz, że... i umilkłem. »Że to dziécię zabito?« odrzekł, spojrzawszy na mnie łagodnie. »Ach bynajmniéj«, odrzekł, »cóżby ten człowiek zyskał na tém, któryby to niewinne dziécię ze świata zgładził?«

Jabym był mógł powiedzieć mu najlepiéj, co ten człowiek przez zabójstwo zyskał, ale umilkłem i drżałem jakby mną zimna dreszcz trzęsła!

Goście uważali z innego względu tę niespokojność moję, i zaczęli mnie pocieszać nadzieją, że się chłopiec jeszcze wynajdzie; byłobyto okropną pociechą dla mnie, pomyśliłem sobie — aż oto nagle usłyszeliśmy jakieś wycie w oddaleniu, i w téjże saméj chwili dwa wielkie brytany wskoczyły przez mur do ogrodu i zaczęły znowu skomléć i wyć jak wprzódy, tylko daleko głośniéj i przeraźliwiéj.

»Sąto brytany, które wyuczone węchem krew wietrzyć«, rzekli moi goście.

Potrzebaż było powiadać mi o tém! W życiu mojém takich psów nie widziałem, a przecież poznałem od razu, czém są i czego szukają w tém miejscu. Z konwulsyjném natężeniem pochwyciłem moje krzesło, nie rzekłem ani słowa i nie ruszyłem się z miejsca.

»Sąto psy doskonałéj rasy«, rzekł człowiek, którego za granicą poznałem, »i zapewne jakiemu stróżowi z domu umknęły.«

Tak on jak i przyjaciel jego poglądali za psami, które przytykając nozdrze do ziemi, nie zważając na nas bynajmniéj, podobnie jak piekielne duchy, bez spoczynku w okół biegały. Niekiedy wznosząc mordy do góry, ponawiały straszne, przeraźliwe szczekanie, poczém przytykając znowu nozdrza do ziemi, nieustannie wszędzie wietrzyły. Nakoniec zaczęły jeszcze z większą pożądliwością

niż wprzódy, obwąchywać ziemię; a chociaż zawsze jeszcze nie stały na jednem miejscu, jednakże nie kołowały już tak széroko i zaczęły się zbliżać coraz bardziéj do mego miejsca i coraz bardziéj zcieśniać okręg między mną a sobą.

Nakoniec stanęły tuż przy wielkiém krześle, na którém siedziałem, i zawywszy jeszcze raz przeraźliwie, starały się oderwać drewniane w krzyż idące podnóże u krzesła, które im jeszcze ziemię odgrzébywać przeszkadzało. Jak ja przytém wyglądałem, poznałem to po twarzy i spojrzeniu dwóch ludzi, którzy przy mnie obecni byli.

»Psy te jakąś zdobycz zwietrzyły«, rzekli goście jeden do drugiego.

»Nie zwietrzyły żadnéj zdobyczy!« odrzekłem.

»Przebóg! wstań wpan z miejsca«, rzekł ten, którego znałem, dobitnym głosem, »bo go te psy rozszarpią!«

»Choćby mnie na sztuki rozszarpać miały, nie ustąpię z tego miejsca!« odrzekłem. »Mająż psy wskazywać ludzi na śmierć haniebną? Posiekajcie, porąbcie je w kawałki!«

»Tu się jakaś okropna zbrodnia stała!« rzekł oficer, którego nie znałem, i dobył szpady. »Imieniem króla wzywam wpana, abyś mi pomógł przytrzymać tego człowieka.«

Na te słowa wzięli mnie obadwaj, i mimo największego oporu z mojéj strony, poprowadzili z sobą. Po niejakiéj walce wzięli mnie spokojnie w środek między siebie, i wtedy, ach miłosierny Boże! wtedy widziałem, z jaką zażartą chciwością brytany ziemię rozgrzebywały.

Cóż tu więcéj mam powiedzieć? Rzuciłem się na kolana i drżącym głosem wyznałem prawdę. Później wyparłem się mojéj zbrodni, ale teraz ją wyznaję. Po ścisłych badaniach, uznano mnie winnym, i na śmierć skazano. Nie miałem tyle odwagi przez samobójstwo zapobiédz téj hańbie, albo ją znieść ze stałością. Nie wzbudziłem w nikim litości; nié mam ani przyjaciół, ani pociechy, ani żadnéj nadziei! Żona moja na szczęście swoje, nie dożyła sromoty swego męża! Zostaję samotny między témi murami, jedynie z dręczącém mnie sumieniem, a jutro—czeka mię topor katowski!

DO FLORYJANA.*)

Co to za szczęście kochać nieszczęśliwie!
Mówię, dla wieszcza, co umié czuć tkliwie;
Bo czy lubego widoku zbawiony,
Czyli wyśmiany, czy srogo zdradzony,
Wszystko to wielkie otwiéra mu pole
Opiéwać serca i rany i bole.
Jakżeto słodko skarzyć się strumykom,
Powierzać żale pagórkom, gaikom,
Łez pełném okiem w księżyc się wpatrywać
I dzikie skały do spółczucia wzywać,
Lub w usta kwiatom kłaść pochwały mnogie,
Albo modłami błagać losy srogie!
Wtedyto płyną Elegije, Sonety,
I pieśni rosną w roliczne bukiety!
Ale gdy wieszcza nieszczęście ożeni,
Wszystko a wszystko zarazem się zmieni!
Już wtedy zdrowe bywajcie piosenki,
Czułe Elegije, i Sonetów dźwięki!
Bo jakże można tesknić do osoby
Która jest naszą każdéj, każdéj doby?
Słyszał kto kiedy, by wieszcz skarzył żonie,
Że zgubna miłość w sercu jego płonie,
Kiedy poczciwa i wierna połowa
Najmniejszy umizg zapłacić gotowa?
Lecz nie tu jeszcze grób Muza znachodzi,
Grot najzgubniejszy w jéj łono ugodzi
Gdy owa w pieśniach sławiona niebianka
Niczém jest więcéj jak prosta ziemianka.
Kocha się w blasku i goni za modą.
O żegnaj wtenczas ty marzeń swobodo!
Ten który przedtém i w myślach i w mowie
Bujał po gwiazdach, dziś musi mieć w głowie
Przepyszne cugi, karéty, galony,
Kosztowne stroje, bale i salony;
Taką lichotą, troskami takiémi
Biedny poeta przykuty do ziemi,
Wznieść się nie mogąc w sfery Ideału,
Więdnieje cicho, usycha pomału,
Aż w końcu ginie obok pięknéj żony,
Jak lotny Pegaz do pługa wprzężony.
Od takiéj zgrozy uchowaj mnie Boże!
Wolę w najdziksze zabłądzić bezdroże,
Tylko niech w takiéj nie ginę niesławie!
Lecz wiém co zrobię: w nielada obawie
By mnie, co lubię wzdychać nadaremnie,
Nie chciała która pokochać wzajemnie,
Muszę płci pięknéj tym tu manifestem,
Odkryć się cały, taki jaki jestem,
To jest: że w każdéj dni moich kolei
Chcę kochać, wzdychać, ale bez nadziei.

*) Ten wiersz jest Epilogiem do wierszy zebranych pod tytułem: *Wanda i kwiaty*, które wkrótce drukiem ogłoszone będą.

Więc i ty za złe już nie bierz, Florjanie,
Że twoje skutku nie wzięło swatanie;
Chociaż stręczona przez ciebie dziéwica
Śliczna jak anioł, czaruje, zachwyca.

Józef Kalasanty z Sidorowa.

TEATR LUDU W NEAPOLU.

(Ciąg dalszy.)

Signor Pulcinella znajduje się w większéj części krajów europejskich, tylko w odmiennéj postaci. U Francuzów zowie się on *Polichinelle,* u Anglików *Punch,* u Niemców *Hanswurst.* Klasyczny ten błazen na teatrze pospólstwa w Neapolu, występuje zawsze z najpomyślniejszym skutkiem, i właśnie nieodmienny ten charakter *Signora Pulcinelli* najbardziéj do jego wziętości się przyczynia. Jest-to dawny znajomy, którego Neapolitańczykowie zawsze widziéć radzi. Nieznajomy, w tych samych sytuacyjach, nie sprawiłby takiego wrażenia.

W *Largo del Castello* i na poblizkich placach jest kilka teatrów, z których każdy ma swego *Pulcinellę;* lecz główną jego siedzibą jest teatr *San Carlino,* w którym on z-rana i w wieczór swe igrzyska wyprawia. Chociaż *Pulcinella* w *San Carlino* nie jest z drzewa, lecz ma ciało i kości, jednakże nie doznaje on, aby jeden dzień spoczynku; skoro tylko przed południem albo pod wieczór zapowiedzą jaką nową sztukę *giocosissimo in tutte le sue scene, ricco di bizzari avvenimenti, con Pulicinella;* już *Pulcinello* musi być na pogotowiu.

Między dramatami, które w najnowszym czasie najbardziéj są ulubione, komedyja *Cozenzy* pod nazwą: *Il pazzo a forza,* zajmuje piérwsze miejsce. *Signor Pulcinella,* dyrektor domu obłąkanych, występuje na scenę w najwyższym stopniu rozgniéwany, że wychowańcy jego nazbyt wiele apetytu mają.

»A to już nie do wytrzymania«, mówi; »na przyszłość dawać będziemy tym panom na obiad, same tylko ziemniaki i jaja na twardo. Ci utrapieńcy żrą jak wilki! Ale poradzimy w to —«

Monolog *Pulcinelli* przerywa jakiś znakomity, czarno ubrany jegomość, który wszedłszy, aż do ziemi się kłania.

»Kogo wpan szukasz?« pyta doktor.

»Sławnego doktora *Pulcinellę,* który obłąkanych na umyśle tak doskonale léczyć umié.«

»Ja nim jestem, mości panie, i wpan jesteś w moim domu. Jak widzisz, dóm mój jest obszérny i ma świéże powietrze, żaden książę piękniéj nie mieszka. Każdy zostający u mnie na pensyi, ma osobny pokój dla siebie — rozumié się, jeżeli jest bogaty. Ale z kimże mam zaszczyt —?«

»Jestem margrabia *Scaramuccio.*«

»Piękne imię, w saméj rzeczy. Ale teraz przystąpmy do naszego przedmiotu: ja przyjmuję na pensyję tylko osoby znakomite, i sam przyrządzam lékarstwa z drogich ingredyjencyj wschodnich. Po jedzeniu, które zawsze jest bardzo smaczne, chodzą pensyjoniści do ogrodu dla orzéźwienia się balsamiczną wonią z najrzadszych kwiatów; potém zgromadzają się w salonie, tańczą, wyprawiają ćwiczenia muzyczne, rozprawiają o kunszcie i literaturze, pod wieczór udają się do stołu na przepyszną wieczerzę, i tym sposobem wkrótce polepsza się stan ich zdrowia tak dalece, iż odzyskują nietylko straconą przytomność umysłu, ale otrzymują nawet większy rozum i dowcip niż przedtém mieli. Wielu z moich obłąkanych poetami, filozofami i akademikami zostało.«

»Życzę wpanu z całego serca szczęścia w téj mierze. Ale jakąż kwotę żądasz wpan za swoję pracę?«

»Bagatelę, 50 dukatów miesięcznie, prócz tego familija po skończonéj kuracyi, jest obowiązaną dać mi 400 dukatów podarku; przytém małe gratki dla profesorów, na wino dla stróżów, i tym podobne *etcetera* — wpan mię rozumiész?«

»Doskonale.«

»Jeżeli więc wpan do nas chcesz się sprowadzić *Signor Scaramuccio,* każę natychmiast dla niego pomieszkanie przyrządzić, i mogę naprzód go zapewnić, iż zupełnie zadowolonym będziesz.«

»Dziękuję wpanu najuniżeniéj za tę łaskę, mości doktorze, nie korci mnie bynajmniéj zostawać na pensyi u wpana. Sądzę, że zupełnie zdrów jestem.«

»Wiém ja z doświadczenia, równie jak i wpan mości margrabio: iż najwięksi waryjaci mają pewne chwile, w których do rozumu przychodzą, a najlepszą jest rzeczą, gdy człowiek sam swoje sprawy załatwi.«

»Wpan jesteś za nadto łaskaw, lecz ja jestem zupełnie przy rozumie. Idzie tu o mojego krewnego, bogatego kupca, który poniósłszy znaczną stratę w majątku, z umartwienia pomieszania zmysłów dostał. Oto masz wpan 50 dukatów za piérwszy miesiąc. Przyjdzie on tu natychmiast, lecz pod warunkiem, abyś z nim łagodnie się obchodził.«

»My nikomu nieubliżamy mości margrabio.«

»Wypada nam się umówić o środki, które przedsięwziąć należy, gdyż pacyjent nie rozłączyłby się ze mną, gdybym nie użył podstępu. Przyjdę więc do tych drzwi z pacyjentem i zapytam wpana: Czy już jest wszystko w pogotowiu, mości notaryjuszu? Wpan odpowiesz: Wszystko, wnijdź wpan do tego gabinetu, a przekonasz się, że dokument już ułożony. Pod tym pozorem ja wyjdę temi drzwiami, które, jeżeli się nie mylę, na ulicę prowadzą, i wsiadłszy do powozu, odjadę. Lecz powtarzam, obchodź się z nim łagodnie.«

»Jak najgrzeczniéj.«

»Do zobaczenia doktorze *Pulcinella; (na stronie mówi)* przyjacielu *Scaramuccio*, jezli ci się to powiedzie, wtedy sprawkę twoję arcy-dziełem nazwą.«

Doktor *Pulcinella* zostawszy sam, cieszy się zawartym układem.

»Ten pan *Scaramuccio* jest prawdziwie bardzo hojny, nie odciągnął ani szeląga z kwoty; ja biorę zwykle tylko 30 dukatów, teraz załuję, żem sto nie żądał.« Po téj prawdziwie neapolitańskiéj uwadze, przybywa *Scaramuccio* z swoim *pseudo*-szalonym, właściwie zaś z jubilerem przy ulicy *Toledo*, który mu za 5000 dukatów klejnoty sprzedał. Szkatułka zawiérająca te kosztowności, schowana w powozie stojącym przede-drzwiami; jubiler przychodzi po zapłatę do notaryjusza margrabiego, a tym jest doktor *Pulcinella*.

»Nie znam tego notaryjusza«, mówi jubiler Flavio przy wnijściu.

»Niedawno zaczął urzędować.«

»Ale jak na adwokata początkowego, pyszny dóm prowadzi.«

»Ożenił się z bogatą dziedziczką, a wiadomo, że jurysci — słuchaj *Signor Flavio*, wpan jesteś niedoświadczony kupiec. Miéjże się na baczności, gdyż niejeden, o którym sądzisz, że jest najpoczciwszym w świecie, w pole wyprowadzić cię może. *(Na stronie)* Wkrótce tego doświadczysz.«

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 45. i obejmuje: 1) O rozprawach na zgromadzeniu gospodarzy wiejskich i leśnych, w Bernie upłynionego września zebraném. (Ciąg dalszy). 2) O owcach. 3) Ferment najlepszy do zboża i kartofli i t. d. (Dokończenie).

Wiadomości literackie z Wilna. Hr. Henryk Rzewuski, udarował nas pismem, które nosi tytuł: *Stosunek Literatury do Historyi narodu*. Tenże pracuje nad dziełem: *O cywilizacyi w ogólności*. Pierwsze wkrótce pójdzie pod prasę, i ma wyjść pod koniec bieżącego roku. — Pan Jankowski, autor *Pism przedślubnych i przedsplinowych*, wygotował do druku nowe pisemko, pod tytułem: *Zaścianek*. Ma to być zupełnie oryginalne u nas dziełko, treści wziętéj z bogatych i nietkniętych dotąd przez nikogo, okolic szlacheckich Litwy. — Wyjdzie w tych dniach trzeci tom *Wędrówek literackich, historycznych i fantastycznych*, niespracowanego autora *Witoloraudy* (J. J. Kraszewskiego.) Tom ten zawiéra w sobie: 1) Wycieczka na wielki świat wielkiego miasta, Maciek i Maciuś; powieść. 2) Wycieczka do Anglii. Hogarth. 3) Życie siéroty. 4) Śmierć szaleńca. — Wkrótce się zacznie także drukować trzeci tom *Poezyj* J. J. Kraszewskiego. — Ks. Jucewicz ma zamiar wydać noworocznik, pod tytułem: *Wajdelota*. — Z tłumaczeń Szekspira: *Makbet* i *Król Lear* już skończone; *Burza* już się kończy drukować. — *Poezyje* Spasowskiego drukują się w świetném wydaniu. — Trzecia część *Obrazu Myśli* pana Bochwica, wkrótce także opuści prasę. — Dzieła Kazimiérza Brodzińskiego, uporządkowane przez Dominika Chodźkę, poczęły się drukować, a mianowicie tom piérwszy zawiérający poezyje. — Dwa tomy *Athenaeum* są już całkiem gotowe, i wkrótce zaczną się drukować. Pan Glücksberg powziął piękną myśl ozdabiać niektóre numera tego pisma portretami znaczniejszych naszych współczesnych pisarzy. Widzieliśmy już wygotowane portrety: M. Grabowskiego i Fl. Bochwica; wykonanie tych portretów, powierzane tutejszym litografom, otwiéra im pole do popisu. W ogólności *Athenaeum* z wielu względów będzie wielkiém i niezwyczajném zjawiskiem w dzisiejszéj literaturze naszéj.

Przedruk francuzkich dzieł w Belgii. Jeżeli Francuzi zowią Belgiję krajem korónek i przedruku, zdaje się, iż kraj ten w saméj rzeczy na tę ostatnią przemówkę zasługuje. Nié masz we Francyi aby jednego ważnego, oryginalnego dzieła, któreby w tym sąsiednim kraju od przedruku zabezpieczoném było, a że Belgija uwolniona jest od opłaty wszelkich należytości autorskich, i od wszelkich wydatków za uwiadomienia, ztąd łatwo sobie wytłumaczyć można, dla czego tak taniémi wydaniami swemi francuzkie wydania dzieł o wiele przewyższa i tym sposobem ciągle drukarnie swe zbogaca. I tak z statystycznego urzędowego wykazu przekonywamy się, że Bruxela w roku 1815 miała tylko 20 drukarń o 27 prasach, w roku zaś 1839 liczyła już 53 drukarń o 229 prasach. Drukarnie belgijskie w roku 1815 wytłaczały 5,000,000 arkuszy, a w roku 1838 wytłaczały już 62,000,000 całych arkuszy. — Ilość książek, które Belgija sprzedaje za granicę, wynosi półtora milijona franków corocznie, a drugą takąż samę ilość zbywa w swym własnym kraju. Z dzieł francuzkich, których przedruk w Belgii dla autorów i nakładników przyniósł największą szkodę, wymieniają między innémi dzieła Bérangera, Thiersa i Lamenego. Pieśni piérwszego wydano w 30,000, historyję drugiego w 15,000, a przedostatnie dzieło trzeciego aż w 60,000 egzemplarzach, przezco Paryż w handlu swoim przynajmniéj na milijon franków szkody poniósł. Z autorów francuzkich najgorzéj się przysłużono Balzakowi i Hugonowi; jakoż piérwszy z nich powstawał kilkakrotnie publicznie przeciw przedrukowi i zwrócił uwagę ministrów na to nadużycie, które dobre mienie literatów francuzkich zupełnie podkopać usiłuje. Skutki przedruku działają zwrotnie nawet na samego prezydenta rady. Balzak słuszną czyni uwagę, że jeżeli Thiers za swoję »Historyję Napoleona« przy teraźniejszych ustawach, otrzymał 500,000 franków *honoraryjum*, ta kwota za zniesieniem przedruku w Belgii, byłaby się przynajmniéj do dwóch milijonów franków podniosła.

W Algierze założono od niejakiego czasu pod przewodnią pewnéj Heloizy Hartoch, szkołę dla dziéwcząt izraelskich. Tego lata podczas rozdania nagród na egzaminie, na który zaproszono cywilne i wojskowe tamtejsze władze, nietylko, że te dostojne osoby przybyły, ale nawet postarały się o wszystko, co się tylko do świetności téj szkoły przyczynić mogło. Jakoż przeciwko temu nie mamy nic do zarzucenia. Lecz posłuchajmy z jaką ostentacyją i kokieteryją sobie w téj mierze postąpiono, czemu pismo czasowe pod nazwą: »*Wschód*«, zawiérające doniesienia naukowe i krytyczne o dziejach i literaturze żydowskiéj, bardzo słusznie przygania. Na rozkaz francuzkiego admirała, dziedziniec rzeczonéj szkoły udekorowano banderami i girlandami z kwiatéw, cały bruk wyścielono drogiémi kobiercami, a w niejakich odstępach leżały na estradach aksamitne, bogato-haftowane,

tudzież z śrebrnego i złotego brokatu wezgłowia. Ośmdziesiąt uczennic, które częścią na sposób francuzki, to jest europejski, a częścią na sposób tamtejszo-krajowy ubrane, i złotem, perłami i klejnotami przyozdobione były, siedziały na podobnychże wezgłowiach i miały w poprzek przez ramię z śrebrnémi fręzlami niebieską wstęgę. Za każdém przywołaniem premijantki, wydawała cała banda muzyczna aplauz na trąbach i kotłach, i wykonywała z najnowszych oper najpiękniejsze utwory! Pewna uczennica mająca półdziesiąta roku otrzymała sześć nagród, a między témi dwa *Necessairs!* prócz tego córka jeneralnego gubernatora marszałka Valée włożyła jéj wieniec na głowę!

Majtek i aktorka. »Gdym była jeszcze ubogą dziéwczyną«, opowiadała księżna St. Albans, »i za trzydzieści szelingów teatralnéj gaży pracowała z natężeniem przez cały tydzień, wyjechałam pewnego razu podczas *feryjów* do Liwerpolu, gdzie mnie zawsze dobrze przyjmowano. Miałam wystąpić w nowéj sztuce. Sztuka ta podobna była do małych dramatów, jakie teraz na podrzędnych naszych teatrach przedstawiają. Grałam rolę ubogiéj, opuszczonéj sieroty, która w największym niedostatku zostaje. Otóż nieczuły kupiec prześladował bohatérkę dramatu z powodu znacznego długu, który u niego zaciągnęła, grożąc, że ją uwięzić każe, jeżeli nikt się nie znajdzie, coby za nią zaręczył. Dziewczyna odpowiada: »W takim razie zniknęła wszelka moja nadzieja, gdyż ja nié mam żadnego przyjaciela na świecie«—»Jako?« zapytał surowy wierzyciel. »Toż nié masz nikogo, coby za ciebie zaręczył i od więzienia cię wybawił?« — »Powiedziałam wpanu«, odrzekła, »że nié mam żadnego przyjaciela na ziemi.« Właśnie gdym te słowa wyrzekła, spostrzegłam majtka z ogorzałą od słońca twarzą, który z ostatniéj galeryi przez poręcz przelazł, przez wszystkie piętra lóż się przesunął i przez tłum ludu i orkiestrę przedarłszy się, nakoniec obok mnie stanął i rzekł z wyrazem najszczérszego uczucia: »Nie rozpaczaj, młoda, biedna dziéwczyno, oto masz we mnie przyjaciela, który za twój dług ręczy. A ty hultaju, (to mówiąc, zwrócił się do przestraszonego aktora), jeżeli się natychmiast ztąd nie wyniesiesz, i gdzie indziéj na kotwicy nie staniesz, tak ci grzbiet twój wygrzmocę, że na mnie całe życie swoje pamiętać będziesz.« Na te słowa cała publiczność powstała z miejsca, hałas był nie do opisania; głośny śmiéch z parteru, krzyk z przestrachem, hurra od jego kolegów z galeryi, przegrywająca muzyka w orkiestrze, a między tą powszechną wrzawą stał prostoduszny majtek, który mnie, biédną, nieszczęśliwą niewiastę chronił i każdemu prześladującemu aktorowi śmiercią zagrażał. I tym tylko sposobem dał się uspokoić, gdy dyrektor teatru wyniósł pęk banknotów teatralnych i zapłacił mniemany dług biednéj dziéwczyny.«

Miłość — książka. Rok 1840 — a dotychczas jeszcze nie wiémy co jest miłość! Z miłością dzieje się podobnie jak z wielą chorobami; pomimo wszelkiego doświadczenia i nauki, przecież z pewnością udowodnić nie można, ażali miłość jest *miazma* lub *kontagijum*. — Poeci utrzymują, że miłość jest roślina. Ale jaka? Wtém się nie zgadzają. Jeden mówi, że jest różą, drugi, że głogiem — co do kolców obadwa są jednego zdania. — Jeden zowie ją centuryją *a)*, drugi dzwonkiem *b)*, inny dzięglem *c)*, a inny paprocią *d)*. — Sławny Linneusz byłby w kłopocie, gdyby mu przyszło wszystkie te gatunki nazwać i uklasyfikować, i przez wieki nikt nie rozstrzygnie, jaką rośliną jest miłość. Co większa, ja utrzymuję, że miłość wcale nie jest rośliną; i *chapeau-bas* — bo ja także poetą jestem, a przeto wierzyć mi trzeba. — Ja mówię, że miłość jest książka, którą on wielki autor nad gwiazdami wydał dla dobra stworzeń swoich; jestto *biblia polyglotta* we wszystkich językach, jestto *vulgata*, którą wszystkie narody na całéj kuli ziemskiéj rozumieją i uświęcają. Miłość jest książką abecadłową, na któréj młode człowieczeństwo zgłoskować się uczy; jestto *premijum* dla wszystkich dzieci tego świata, jestto klasyk *cum notis variorum*. — Książka ta jest zbiorem wszelkich umiejętności, wyjąwszy matematyki. Gdyż miłość i matematyka są *antypody*, mają się one tak do siebie, jak orzeźwiająca rosa do palącego *Syroko*. — Największymi znawcami téj książki są niewiasty, gdyż one są z urodzenia profesorkami miłości, my mężczyźni jesteśmy tylko kandydatami, którzy na długich szkolnych ławkach życia siedzimy, i z katedry niewieściego serca, szczytną książkę miłości komentować sobie każemy. — Ach, panowie profesorowie wysokich umiejętności, jakże mało tym uprzejmym profesorkom podobnymi jesteście! Wy piastujecie urząd profesorski, tylko jako osobiste lennictwo, a profesura miłości jest dziedziczną własnością niewiast, które nawet w najpóźniejszym wieku pensyjonować się nie dają. Lord Chesterfield pytał raz pewnéj ośmdziesięco-letniéj damy: w którym téż wieku niewiasty kochać przestają? »Nie wiém tego«, odpowiedziała; »zapytaj się wpan oto *starszéj* odemnie.« — Takiémi są niewiasty, chwila ich urodzenia i śmierci są dwie okładki, w które książka miłości jest oprawiona, dni ich życia, są jéj kartkami. — Przejdźmy pobieżném okiem ostatnie upłynione wieki, dla przypatrzenia się rozmaitym losom téj książki. — Wiek średni był jéj złotym wiekiem, najpiękniejsze litery kreślono na wieczno-trwałym pargaminie niezgasłym atramentem; początkowe głoski malowano najpiękniejszémi kolorami, suto wykładano złotem, nawet szérokie brzegi pysznémi wizerunkami zdobiono. Śpiewy trubadurów i minstrelów poświadczają o owoczesnym blasku téj książki. Aż oto wynaleziono sztukę drukarską, a rękopisma wyszły z mody. Zniknął pargamin, miejsce jego papiér zastąpił. Wydawano zawsze jeszcze książkę, jednakże w dużém *folio*, gockiémi czcionkami i z sztucznémi drzeworytami; niezadługo wydano ją w ćwiartce dużémi wprawdzie czcionkami lecz z pośledniémi rycinami, późniéj nawet w ósemce zwyczajnémi typami i z wignetami, a nakoniec w formacie kieszonkowym z małémi litografijami. W najnowszym czasie widzimy ją wydaną tylko w dwunastce drukiem petytowym i na lichym papierze, a często i na bibule ogołoconą z wszelkich rycin — — na tytule jaśnieją wielkim drukiem wyciśnięte wyrazy: »Najtańsze wydanie!« — Zaiste, miłość stanie się nareszcie magazynem szelążkowym, *Ollą potridą* słabych uczuć, kuryjerkiem kawiarniczym, którego kartki pobieżnie przerzuciwszy, na bok go odrzucamy. — Teraz nie masz téj dużéj, w piękność i spaniałość bogatéj książki, wielki gmin nicuje i wyśmiéwa teraz jéj myśl głęboką, którą niegdy tylko mała ilość wtajemniczonych czytelników rozumiała. — Oprawa jéj, w którą niegdyś introligator z każdą kartką wierność, przywiązanie i uczciwość wszywał, doznała podobnież wielkiéj zmiany losu. Niegdyś oprawiano książkę tę w pargamin, safijan, cielęcą skórkę, późniéj tylko w półskórek, a potém w papiérową kléjonkę; nakoniec została *broszurą*, jakby oprawy wartą nie była.

a) W mowie kwiatów: szczęśliwością.
b) Głupstwem.
c) Szałem.
d) Marzeniem.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.